

fragment książki

Pracowało się na trzy zmiany: od szóstej do czternastej pierwsza zmiana, od czternastej do dwudziestej drugiej – druga i od dwudziestej drugiej do szóstej rano – trzecia. Przemennie co tydzień na innej. Najbardziej nie lubiłem nocnej zmiany. Sen mnie nieraz zwał z nóg. Toteż gdy brygadzysta gdzieś poszedł na zakład pogadać z kimś czy poszukać, gdzie kto ma wódkę, musiałem choćby te piętnaście minut się przespać. W brygadzie było nas razem z brygadzystą pięciu, w tym dwóch sezonowych. I zawsze któryś zdążył mnie zbudzić, gdy wracał brygadzysta. Ale nie lubiłem i rannej zmiany. Zwlec się o świcie z łóżka wymagało niemal nadludzkiego przemagania się ze snem, bo gdy się już uniosłem, sen mnie kładł z powrotem w pościel. I nie pomagał budzik, mógł dzwonić i dzwonić, sen oddzielał mnie od niego jak mur. Na szczęście prócz budzika czuwała matka. Ojciec chodził na ósmą, więc mógł jeszcze pospać. Matka, jak mówiła, miała budzik w sobie, nastawiony latem czy zimą na tę samą godzinę, i nie musiał jej budzić ani świt, brzask ani ciemność.

Do liceum gdy chodziłem, pracowałem w każde wakacje jako sezonowy, a gdy nie dostałem się na studia, ojciec załatwił mi stałą pracę na suszarni. Pracowałem w tych samych zakładach, tylko w biurze. Bywało, że z suszarni przrzucano mnie na jakiś czas na inne działy, gdy na suszarni powstała awaria albo płucało się sita czy nie było co suszyć. W sezonie suszyło się morele,

wisnie, śliwki, gruszki, a najczęściej jabłek. Jabłka krajało się w plasterki, potem płucało się w roztworze z siarki, żeby nie zbrązowiały. Suszyło się te z najlepszych gatunków i odpowiednio przechowane. Gorsze szły od razu na prasę, na sok. Poza sezonem suszyło się jeszcze cebulę, kartofle, tak samo w plasterki pokrajane. Była specjalna brygada obieraczek, która przygotowywała owoce czy warzywa do suszenia. W zimie pracowało się na dwie zmiany, dopołudniową i popołudniową, w związku z czym zwalniano wszystkich sezonowych, a niektórych z etatów przenoszono do innych robót, nawet do sprzątania, zamiatania, co i mnie się zdarzało.

Najcięższą pracą było rozbijanie wytlóków po wyciśniętych przez prasę jabłkach. Te wytloki też się suszyło, wytwarzano z nich pektynę. Pakowało się susz w papierowe worki i gdzieś się wysyłało. Spod prasy wychodziły niemal skaliste prostokątne bloki, rozbijało się je najpierw młotami, a potem roztrząsało widłami. Dzisiaj może są maszyny do takiego rozbijania, wtedy były tylko młoty i widły.

**Autor
dwukrotnie
uhonorowany
Nagrodą Nike**

Ręce po tym rozbijaniu i roztrząsaniu tak mnie nieraz bolały, że gdy się w nocy na bok przewróciłem, od razu sen mnie odchodził. Wiadra z wodą nie dawałem nieraz rady przynieść, żarówki u sufitu wkręcić, gdyż nie byłem w stanie tak wysoko ich unieść, koszuli sobie zapiąć na guziki, przy goleniu zawsze się pozacinałem. Nacierala mi je matka wyciągiem z agawy albo jakimś mazidłem pieprzowcowym poleconym przez aptekarza, ale co się przy

tym naużalała nade mną, to od jej żalów jeszcze gorzej mnie bolały.

– Mój syn. Do czego to doszło. A w diabły to rzuć. Serce mi się kraje, gdy pomyślę, że mój syn robotnik.

– Ale jako robotnik prędeż się dostanie na studia, o tym nie pomyślisz? Państwo robotnicze, to jako robotnik będzie miał fory. A i mięśnie mu od widel stwardnieją. Człowiek musi wiedzieć, w jakich czasach żyje, kiedy go pytają. A on widać nie odpowiadał tak, jak go pytali. Bo jakie czasy, tak i pytają, i tak trzeba odpowiadać. Nic nie ma za darmo. Musi się życia nauczyć. Rozejrzyj się dookoła, gołym okiem widać, że mało kto jest niepojętny. Do tej pory nie powiedział nam, o co go pytali. Widocznie nie umiał być pokorny, że nie dostał się. To widły nauczą go i pokory.

Nie wiem, czy to mądrość doświadczenia przez ojca przemawiała, ale gdy stanąłem przed komisją egzaminacyjną, przewodniczący na wstępie zadał mi pytanie:

– Wybieracie się na etnografię, to powiedzcie nam, co to jest lud?

– My wszyscy – odpowiedziałem bez wahania.

Członkowie komisji jakby z lekka drwiącymi półuśmiechami spojrzeli po sobie, a przewodniczący powiedział:

– Dziękujemy wam.

Na tym skończył się egzamin.

Szedłem któregoś dnia na drugą zmianę na czternastą i nagle doszedł mnie jakby skowyt nieskowitz, płacz niepłacz dziecka. Przystanąłem, z lewej strony drogi pusty plac, na nim przyzmy

cegieł, kamieni, desek, belek, a za tym wszystkim, na końcu chałupa. Zszedłem w głąb tego placu i dopiero zobaczyłem dół z lasowanym wapnem, a w nim tonące dziecko, tylko główkę mu widać. Chwila, a i główka skryłaby się w wapnie. Skoczyłem, położyłem się na brzegu tego dołu, wsadziłem ręce po łokcie w wapno, chwyciłem dziecko pod pachy, chciałem je unieść, lecz ręce odmówiły mi posłuszeństwa. Wysiłkiem woli, bo nie mięśni, utrzymywałem główkę dziecka nad powierzchnią wapna. Myśli, serce wszystko we mnie łomotało, bo trzeba było się spieszyć, takie lasowane wapno żre i wciąga niczym bagno. Nie mówiąc, że i mnie mogło wciągnąć, bo przecież nie wypuściłbym dziecka z rąk. A tylko połowę ciała, mniej więcej do pasa, leżałem na brzegu tego dołu, drugą z wyciągniętymi rękoma, podsadzonymi pod pachy dziecka, wisiałem nad tym wapnem. Nie wiem, może mi się wydawało, że coraz bliżej widzę tę zapłakaną buzię, te niebieskie oczka, ściśnięte z przerażenia. Najwyraźniej zbliżałem się głową do tej małej główki, jakbym ją przytulał.

Wtem usłyszałem gdzieś w dali, niczym wyrwane z trzewi: Jezus! Maria! I tupot nóg, krzyki, przekleństwa. To matka, ojciec, dziadek biegli od tej chałupy na końcu placu. Czyjeś silne ręce chwyciły mnie za nogi przy kostkach. I mocny, męski głos, jak się okazało ojca, zawył nad moją głową:

– Trzymaj pan! Będę pana ciągnął!

Wyrwał dziecko z moich rąk i pobiegł z nim pod studnię. Wyciągnął wiadro z wodą i wylał je na dziecko, które jeszcze głośniejsze rozpłakało się, niż kiedy tonęło w wapnie. Matka pobiegła z po-

Poruszająca refleksja nad tajemnicą spotkania

wrotem do chałupy, a za chwilę wybiegła z naręczem jakichś szmat, nie tyle płakała, co zawodziła, mój Jezu! mój Jezu! A dziadek dreptał wokół tego dołu z wapnem i biadolił, powtarzając raz po raz:

– A mówiłem, zakryć. Mówiłem, zakryć. Mówiłem, zakryć.

Nie dość mu jednak, widać, było tego biadolenia, bo stanął nad tym dołem, w miejscu, gdzie chłopiec wpadł, i zaczął walić laską w jego brzeg, aż kurz się wznosił.

– Ty zarazo! Ty pieroński! Żeby cię tak!...

– Co teściu zwariował?! – Ojciec chłopca wyrwał mu tę laskę, aż się dziadek zachwiał, że o mało sam nie wpadł do dołu. – Ziemię teściu zrzuca do wapna!

Lasowali to wapno na nowy dom. Dom miał być murowany, podpiwniczony, ze spadzistym dachem, strych wysoki, okna duże, oszklony ganek. I miał stać przy drodze, przed tym dołem z wapnem, od drogi dzieliłby go tylko niewielki ogródek na kwiatki. Żadnych bzów czy jaśminów, żeby nie zasłaniać drogi przed widokiem. Rażniej jest, gdy się widzi, kto idzie, kto jedzie, okna nie powinny być martwe.

Jedli akurat obiad w kuchni, a kuchnia mieściła się po przeciwnej stronie, tak że nic nie słyszeli. Zresztą chłopak jadł z nimi, a że był niejadek, to jak zawsze kręcił się, wiercił i nie wiadomo kiedy się wymknął. Myśleli, że może do pokoju poszedł po tamtej stronie, bo nieraz chował się przed jedzeniem pod pierzyną czy pod łóżko włąził. Trzeba go było za uszy ciągnąć albo i z pasem stanąć nad nim. Tak się go nie bije, jedynak, to się chucha. A nie wiadomo, czy drugie będzie. Może gdy ten dom się wybuduje. Dzieci kosztują. A niechby tak dwoje, troje i wszystkie niejadki, to ile to

cierpliwości trzeba, nim dorośnie. A dorośnie, tak samo nie wiadomo, czy się człowiek będzie cieszył, czy martwił.

Miał ojciec rację. Jako robotnik dostałem się łatwo tym razem na studia, nie poszedłem jednak na etnografię, jak poprzednio, wybrałem historię, a może to historia wybrała mnie, chociaż nie był to sprzyjający czas dla historii. Ze wszystkich bowiem nauk historia jest najbardziej narażona na zakusy tych, którzy chcieliby sobie ją podporządkować. Ale ma również tę przewagę, że jest najbardziej wymagającym sprawdzianem charakterów.

Byłem już po doktoracie i postanowiłem odwiedzić kiedyś ojca. Matka od dwóch lat nie żyła, więc przy okazji wybrałem się na jej grób. Niedaleko miałem do cmentarza, gdy wtem widzę, z naprzeciwka wali jakieś potężne, wysokie chłopisko, kroki stawia zamaszyste, długie, a przy nim drepcze chuchro kobiecina i nadgania dwoma krokami jego jeden. Nie poznałem ich, bo skąd, sporo lat minęło. Ona była wtedy dużo młodsza, wyższa, tęższa, piersi ją rozpychały, trzymała się prościutko, wydawało się, że kilkoro dzieci może jeszcze urodzić, teraz przygarbiona, sucha, okazało się, że dom ją tak zniszczył. Zatrzymali się przede mną i ona do niego:

– To ten pan ci uratował życie. Podziękuj.

Spojrzał na mnie bez cienia wdzięczności, raczej niezadowolony, że on, olbrzym, ma komukolwiek dziękować, że żyje, a tym bardziej jakiemuś obcemu. I za co? Że go z wapna wyciągnął? Odkąd siebie pamiętał, zawsze rozpierało go poczucie siły, tak że mógłby się i sam wyciągnąć. Na zabawach bierze dwóch, trzech za czerepy i przez okno wyrzuca. A tu jakiś w kapeluszu, w oku-

larach, z laską miałby go z wapna wyciągnąć? Wprawdzie z laską przyjechałem tylko wtedy do ojca, bo nie chodziłem jeszcze z laską.

– No, podziękuj – zachęcała go matka.

Bez słowa wyciągnął ku mnie wielką jak łopata rękę, podałem mu swoją, ścisnął mi, że aż gwiazdy zobaczyłem.

– Gdyby pan nie szedł akurat do pracy, nie byłoby cię już na świecie. – Kobiecina rozczuliła się, z jej twarzy biła wdzięczność i za siebie, i za syna, i za zmarłych męża, dziadka, bo od ich grobu wracali.

Przejechałem raz i drugi wzrokiem od stóp do głów po tej wielkiej postaci uratowanego niegdyś dziecka i powiedziałem:

– Dzisiaj bym pana nie wyciągnął.

– Dzisiaj bym nie wpadł do wapna, bo dom już stoi – odpowiedział, a na jego, wydawałoby się, obojętnej twarzy pojawił się jakby cień współczucia dla mnie.

– A zresztą może i ja kiedyś pana wyciągnę.

– Kiedy nie mam zamiaru budować domu, więc i wapna nie będę lasował.

– Niekoniecznie z wapna. – I dobrotliwie się uśmiechnął.

Po czym wyjął mi laskę z ręki, przeczytał, co na tej złotej tabliczce napisane, i oddając mi ją, powiedział: – Nie wierzyłbym. Własne nogi lepiej pamiętają.

Ojciec, ledwo próg przekroczyłem, zdziwił się, że już o lasce chodzę:

– Co, z biodrem masz kłopoty czy z kolanem?

Potem gdy zrobił mi herbaty, nalał po kieliszku

swojej śliwkowej nalewki, zaznaczając, że to już ostatnie pół butelki, którą dla mnie tylko trzyma, ale powinno do jego śmierci starczyć, gdy będę tak rzadko przyjeżdżał, wziął tę laskę i spróbował przeczytać, co tam na tej złotej plakietce napisane. Mimo że od mojego ostatniego pobytu znów zmienił okulary na grubsze, nie dał rady. I dopiero gdy dopomógł okularom szkłem powiększającym, przesylabizował:

„Drogiemu Panu Profesorowi w dowód wiecznej pamięci – wychowankowie”. O, to już profesorem jesteś. Nie mówiłeś.

– Bo jeszcze nie.

– Ale będziesz, to będzie jak znalazł. Profesor powinien mieć laskę. Jak inaczej poznasz, że profesor? Idzie jakiś, to idzie. Ładnie ci napisali, o, ładnie. Żeby tylko pamiętali, bo różnie i z pamięcią bywa. Mnie już nie zapraszają do Zakładów, jak jakaś uroczystość, odkąd nowy dyrektor przyszedł. Poprzedni mnie jeszcze zapraszał.

Cóż, krótka jest ludzka pamięć. Gdyby się tak samemu mogło o sobie pamiętać. Tylko jak, gdy już ciało umrze? Musiałaby pamięć sama po nim żyć. Tylko czy nie więcej by cierpiała, niż żyła?

Po śmierci ojca nie miałem już powodu przyjeżdżać. Jedynie od czasu do czasu na ich groby. Toteż rzadko odwiedzałem i tę dawną dziką, zieloną dolinę. Zwłaszcza że z upływem lat coraz trudniej schodziło mi się po tych schodach. Nieraz miałem wrażenie, jakby ich przybyło od ostatniego mojego tu pobytu, a jeszcze trudniej z powrotem wychodziło, nie mówiąc o gasnącej nadziei, że się kiedyś jeszcze spotkamy. I ciągnęła mnie tylko pamięć, gdy ją odprowadzałem do

**Polski autor
tłumaczony
w wielu krajach**

furtki w ogrodzeniu i czekałem, aż dojdzie ścieżką przez sad do domu na wzgórzu i krzyknie mi spośród drzew:

– Hej!

Nie powinno się jednak odwiedzać dawnych miejsc, bo to nie są już te same miejsca. Miejsca jak wszystko przemijają. Zaszedłem więc najpierw do znanej mi z poprzednich pobytów kawiarni w rogu rynku, zamówiłem herbatę i szarlotkę na gorąco z bitą śmietaną i dla dodania sobie otuchy zapuściłem się w swoją młodość, gdy zeskakiwałem do tej doliny po kilka schodków, a z niej ku miastu również po kilka schodków wbiegałem. Złościło mnie nawet, gdy ktoś schodził lub wcho-

dził przede mną, zastawiając mi drogę, a nie dało się go ominąć, gdyż nieraz szedł dla pewności skosami od lewa do prawa i musiałem wlec się za jego krokami. Poza tym niektórzy, doszedłszy do Ucha Igielnego, przystawali, jak gdyby po połowie życia, bo przeważnie wtedy nachodzą nas pierwsze lęki przed przyszłością i zaczyna się człowiek oglądać za przeszłością. A Ucho Igielne znajdowało się mniej więcej w połowie schodów. Przy czym nie było szersze niż na dwie szczupłe osoby lub jedną tęgą, więc przystawałem i ja, chociaż nie miałem jeszcze za czym się oglądać, a przyszłość nie napawała mnie lękiem.

Wiesław Myśliwski został dwukrotnie uhonorowany Nagrodą Nike (za powieści *Widnokrąg* w 1997 i *Traktat o łuskaniu fasoli* w 2007). W swoim dorobku ma poza tym powieści: *Nagi sad* (1967), *Pałac* (1970), *Kamień na kamieniu* (1984), *Ostatnie rozdanie* (2013); dramaty: *Złodziej* (1973), *Klucznik* (1978), *Drzewo* (1988), *Requiem dla gospodyni* (2000). Jego utwory były wystawiane na scenach teatrów, a także w Teatrze Telewizji i Teatrze Polskiego Radia, jak również filmowane (*Przez dziewięć mostów*, *Pałac*, *Klucznik*, *Kamień na kamieniu*). Myśliwski jest laureatem wielu nagród i wyróżnień, otrzymał m.in. Nagrodę Literacką im. Władysława Reymonta (1997), Nagrodę im. Alfreda Jurzykowskiego (Nowy Jork, 1998), Nagrodę Literacką Gdynia (2007), Złote Berło Fundacji Kultury Polskiej przyznawane wybitnym polskim twórcom (2011). Za *Traktat o łuskaniu fasoli* otrzymał w 2011 roku we Francji Grand Prix Littéraire de Saint-Émilion, a za *Kamień na kamieniu* w roku 2012 w USA – wraz z tłumaczem Billem Johnstonem – The Best Translated Book Award. Jego książki tłumaczono na wiele języków, m.in. hiszpański, francuski, niderlandzki, hebrajski, czeski, litewski, włoski i słowacki.

